Męska decyzja: Pstryk! I limbus puerorum znikł!

A mówią, że Kościół jest niereformowalny. Nic bardziej mylnego! W życiu spotykają człowieka różne niespodzianki. W życiu pozagrobowym, jak widać, również. Bo oto po wielu latach debat i sporów świat obiegł taki news: *„Międzynarodowa Komisja Teologiczna w od dawna oczekiwanym dokumencie podjęła decyzję o rezygnacji z koncepcji tak zwanego limbusu, czyli otchłani, do której, zgodnie z wielowiekową tradycją w Kościele katolickim, trafiają dusze dzieci zmarłych bez otrzymania chrztu. Nieoficjalne informacje na temat tej decyzji, zaaprobowanej przez Benedykta XVI, napłynęły z Watykanu*." (PAP, 20.4.2007, fragment)

Zatem uważam się za człowieka o wyjątkowym szczęściu, ponieważ zwykle przewroty tej miary albo już dawno się dokonały, albo odbędą się w jakiejś nieokreślonej przyszłości, której nie mam szans dożyć. Żałuję na przykład, że akurat nie za mojego życia stało się jasne, że ziemia jest okrągła, a przecież to musi być zupełnie niezwykłe doznanie i przewrót w świadomości, zasnąć na ziemi płaskiej jak spodek, a obudzić się na kuli bilardowej. Albo myśleć, że świat kończy się na maleńkiej kamienistej wysepce Hierro, ostatniej z Wysp Kanaryjskich, spowitej w gęste mgły, i dalej to już jest tylko Wielkie Nic, aż tu nagle pewnego dnia spada na ludzkość wiadomość, że tam dalej to dopiero się dzieje, mamy karnawałową Brazylię, pełną krów Argentynę, roztańczoną Kubę, pastelowe Wyspy Dziewicze, nie wspominając o Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Czy można sobie dziś wyobrazić taki news: *„Żeglarze portugalscy dopłynęli do nieznanej krainy. Gigantyczny Jezus Chrystus przywitał ich z otwartymi ramionami*"? Lub: *„Marynarka Francuska odkryła po wielu dniach błądzenia po oceanie zatoczkę ze Statuą Wolności. Za statuą wydaje się rozciągać nieznanej wielkości kontynent. Królowa angielska uważa, że należy do niej*"? Nie można! Wszystko to dawno już zostało odkryte, rozparcelowane, zaklepane. Czasami tylko ktoś wyląduje na Księżycu, rozpadnie się jakieś imperium, podniesie żelazna kurtyna, rozsypią mury. Czasami ktoś ogłosi, że czerwone wino jest na pewno zdrowe, DNA człowieka różni się się od DNA małpy zaledwie o minimalny %, owca Dolly jest identyczna jak jej matka, tylko szybciej się starzeje, więc jednak taka sama nie jest, a planeta Pluton nie jest planetą. Jednym słowem *peanuts* i nudy.

Aż tu nagle taka rewelacja! I to w tak migawkowym przedziale życia jakim jest moje w skali wieczności, jedno mrugnięcie okiem i stało się, nieochrzczone dzieci dostały dyspensę i odtąd będą trafiały do nieba, przed oblicze Pana, a nie, jak przez wieki, do otchłani niewiniątek, gdzie Pana całą wieczność nie widziały i nigdy widzieć nie miały. Nie w głowie mi nabijanie się, że to zupełnie jak amnestia maturalna ogłoszona przez polskiego ministra edukacji, wydarzenie tyleż humorystyczne co marginalne, w wymiarach globalnych równie nieistotne dla wirowania świata co weekendowy korek na Zakopiance. Naprawdę się martwię.

Bo weźmy takiego Plutona. Czy dla kogoś poza paroma astronomicznymi purystami ma to jakieś znaczenie, czy jest planetą czy tylko planetopodobnym obiektem kosmicznym nazwanym niezbyt pochlebnie planetą karłowatą? Jasne, astronomowie mają swoje definicje. Ale tak w duchu, to myślę sobie, że na którymś kolejnym zlocie machną ręką na definicje i znowu będziemy mieć szacowne 9 planet w naszym Układzie Słonecznym tak jak było i być powinno. W każdym razie nie zdziwiłabym się, gdyby tak się stało, bo przecież tylko grupka astronomów była na sławetnym Zgromadzeniu i tylko grupka z grupki głosowała przeciwko Plutonowi. Na następnych kongresach układy mogą wyglądać zupełnie inaczej i w konsekwencji - Układ też. A poza tym czy jako nibyplaneta czy takjakbyplaneta czy miniplaneta, lodowato-skalisty Pluton niezmiennie krąży sobie gdzieś straszliwie daleko po swojej orbicie i ma nas i nasze definicje, delikatnie mówiąc, gdzieś.

Wręcz przeciwnie ma się sprawa z Plutonem, władcą piekieł. Ten jest znacznie bliżej. I rozsierdzić go o wiele łatwiej. Temperatury też zupełnie nieporównywalne. A że mamy z nim już od dawna na pieńku, tym większy i słuszniejszy może być jego gniew. Bo to jak z obu Amerykami. Paru europejskich zawadiaków przybiło do nieznanego sobie lądu, wygramoliło się na plażę, wbiło flagę i ogłosiło: To moje! Jakby nie żyły tam już miliony prawowitych właścicieli, bo tyle mniej więcej mieszkańców musiała liczyć Ameryka prekolumbijska. To dlatego 12 października 1992 roku jedni Amerykanie obchodzili radosną rocznicę 500-lecia odkrycia Ameryki podczas gdy

drudzy Amerykanie opłakiwali dzień swojej straszliwej klęski i zaprzysięgali zemstę.

Całkiem podobnie pierwsi chrześcijanie wtargnęli do krainy od dawna już zagospodarowanej posiadającej swojego bezdyskusyjnego władcę, Plutona. I dalejże rządzić się a panoszyć. Zupełnie jak pierwsi konkwistadorzy z krzyżem w jednej dłoni i mieczem w drugiej, nakazujący „dzikusom" się ochrzcić, choć ci „dzikusi" mieli swoich nie mniej ważnych bogów i nie mniej istotne rytuały, a ich świątynie w niczym nie ustępowały kościołom na Starym Kontynencie. A teraz anektuje się Plutonowi tak żyzny kawałek posiadłości jakim jest limbus puerorum i wszystkich jego mieszkańców jednym postanowieniem przenosi poza obszar jego władania, do katolickiego raju. I kto by się w takiej sytuacji nie uniósł? Prześledźmy historię, przyjrzyjmy się faktom i datom, porównajmy dane, bądźmy obiektywni.

Odwiecznym władcą państwa zmarłych był Pluton, inaczej zwany też Hadesem, „Niewidzialnym", nosił bowiem hełm, który czynił go niewidzialnym, wykuty specjalnie dla niego przez Cyklopy. Świat zmarłych, był to bogaty świat, gdzie wszyscy żywi udawali się po śmierci i skąd nie było powrotu. „Pluton" wywodzi się od greckiego słowa „plutos", bogactwo. Bóg świata podziemnego dostał takie imię ze względu na niezmierzone bogactwa, którymi władał. Zwany był też „Agesandrosem", „Prowadzącym ludzi", był bowiem dla ludzi przynajmniej tak samo ważny, jak jego prarodzice, Niebo i Ziemia, Uranos i Gaia, która równocześnie była matką swojego męża. Zrodzeni z tego związku tytan Kronos i tytanida Rea, wydali na świat bogów olimpijskich, wśród nich małego Plutonka. Władza Plutona była bezdyskusyjna. Jego żoną była Persefona, córka jego własnej siostry, bogini Demeter, i jego brata, a zarazem brata Demeter, samego Zeusa.

Nawiasem, kazirodztwo wśród bogów nie było niczym zdrożnym, nie było wśród nich chorób genetycznych; można się domyślać, że i DNA nie posiadali, ale to tylko taka całkiem współczesna uwaga na marginesie. A zresztą czyż mieli wybór? Była ich zaledwie garstka. Nic dziwnego, że kochali się między sobą, a ten czy ów żądny zmiany zawieszał oko na jakiejś urodziwej ziemiance-śmiertelniczce i nocą spływał do jej łona niepokalanie, ani się spostrzegła. A gdy już nie było wątpliwości, klęła się na wszystko, co jej najdroższe, że to duch święty był. I w końcu ziemski mąż wybranki boga *nolens volens* wychowywał bękarta. Szczególnie Najwyższy z Najwyższych, krotochwilny a kochliwy Zeus, co raz, to zapuszczał się między zwykłych ludzi i uwodził ich kobiety, za co mu jego własna poślubiona, równocześnie rodzona siostra, zazdrosna jak diabli Hera, nieźle zmywała głowę oczekując go na progu Olimpu z wałkiem do ciasta wielkości słupów Heraklesa.

Pluton, jak przystało na boga tej miary, też nie zawracał sobie głowy umizgami, porwał Persefonę i pojął ją za żonę, o zdanie jej nie pytając, jednak, jako dobry wujek, pozwalał jej wiosną wracać na ziemię, bo Demeter odchodziła od zmysłów po stracie córki. Persefona, żona tak potężnego władcy, miała zrozumiałe fory u swojego męża. Insygniami władzy Plutona-Hadesa było berło, a że władał krainą bez powrotu, nosił też klucze do bramy z niepozostawiającym żadnych wątpliwości napisem „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie" [1]. U jego stóp siedział straszny trzygłowy pies o imieniu Cerber, nie masz lepszego stróża w całym świecie żywych i umarłych. Uwadze jego szóstki oczu i trzech wyczulonych do granic możliwości nosów najmniejsze uchybienie w gospodarstwie pana nie mogło umknąć w żaden żywy sposób. Zresztą kto go tam wie, ile miał głów i ile oczu, bo wydawał się widzieć wszystko w najodleglejszym zakątku krainy. Żaden żywy wejść nie zdołał, żaden umarły wyjść. Przez Styks, rzekę odgradzającą świat żywych od świata umarłych, wykupywało się bilet w jedną stronę. Raz tylko Cerber dał plamę, gdy nakarmiony ciastkiem z makiem z kuchni tej czarownicy Sybilli usnął w najlepsze i w obie strony przepuścił Eneasza. Odtąd jeszcze bardziej miał się na baczności.

Kraina zmarłych dzieliła się na trzy części: Elizjum, Ereb i Tartar. Elizjum było miejscem wiecznej szczęśliwości i wiosny, tu, na Polach Elizejskich, wśród smukłych topoli i złotowłosego kwiecia asfodeli przechadzali się najlepsi z najlepszych. Ereb to kraina mroku, miejsce dla dusz zwykłych śmiertelników. Tartar natomiast to była część najgłębiej położona i zarazem najstraszniejsza. Do niej bogowie strącali największych grzeszników. Tu Syzyf toczy pod górę swój głaz, i nigdy nie dotoczy, tu głodny i spragniony Tantal nigdy się nie nakarmi, nigdy nie napije, choć wiszą nad nim soczyste owoce, choć stoi po pas w wodzie, spotkała ich kara za drwienie z bogów, za kupczenie ambrozją i wynoszenie boskich tajemnic między ludzi. Tu cierpi męki ojciec Centaura, Iksjon, za to, że

zapatrzył się w zeusową żonę, a tego zazdrosny małżonek nie ścierpiał nie bacząc bynajmniej na to, że sam był mistrzem zdrady, podstępnie uformował chmurę na podobieństwo Hery, Iksjon wychędożył chmurę i tak oto mamy syna, Centaura, po wsze czasy *corpus delicti* niewczesnego afektu, i karę dla sprawcy raz na zawsze.

W Tartarze potępieńców gnębiły Erynie, demony zemsty, Zawziętość, Mściwość i Wrogość, wstrętne staruchy z wężami we włosach, psimi pyskami i skrzydłami nietoperzy. Zrodziły się z krwi zranionego dziadka Plutona, Uranosa, podczas powstania przeciwko niemu jego własnych dzieci. Uranos najpierw postrącał do Tartaru zbuntowaną progeniturę, potem w końcu pokonany przez ostatnie z maleństw, Kronosa, też wylądował w Tartarze, i smaży się tam po dziś dzień.

Zanim jednak upadł tak nisko, z odciętych mu przez własne dziecię i wrzuconych do morza genitaliów narodziła się bogini piękności, Afrodyta, wyłaniając się z piany morskiej u wybrzeży Cypru w wianuszku z urodziwych nimf zrodzonych z kropel spermy zranionego ojca. I zaraz rozpoczęła swoje dzieło łamania męskich serc od swojego własnego męża, boskiego kowala, kulawego Hefajstosa, począwszy, rodziła bowiem dzieci ze związku z o wiele atrakcyjniejszym fizycznie bogiem wojny, Aresem. Ich synek Eros bawiąc się strzałami z kuźni ojczyma niejedno serce śmiertelnie ugodził. Jednak wiarołomstwa bogini uchodziły jej płazem, świat starożytny nie ukarał Afrodyty Tartarem za miłość.

Aż tu pewnego razu - Persefona akurat przymierzała nowiutką suknię w kwiatki, nadchodziła bowiem pora jej wyjścia z Hadesu - przez Styks przeprawił się mężczyzna w sile wieku ze śladami po gwoździach na dłoniach i stopach. Podawał się za boga, ale wyglądał jak człowiek, i to dość umęczony. Nie przeszkadzało mu to jednak ogłosić się panem życia i śmierci. Przemeblował zaświaty, porozstawiał całe towarzystwo po kątach i zabrał ze sobą prawie wszystkie dusze zostawiając jedynie najgorszych potępieńców. Jego tajemnicą pozostanie jak zmylił czujność Cerbera, dość na tym, że w najlepsze dołączył do wyłaniającej się z wiosną całej w kwiatach Persefony, schowany w fałdach jej sukni, łamiąc wszelkie prawa królestwa umarłych w zaświatach i reguły żywych na ziemi (nie zapominamy, że jesteśmy w czasach Ziemi płaskiej jak kościelna tacka, jesień na antypodach w tym samym czasie nie obchodzi nas nic a nic).

Jego matka przysięgała, że począł się z ducha świętego, ale sąsiedzi widzieli, jak kręcił się wtedy wokół domu pewien przystojny rzymski żołnierz, z synkiem Afrodyty na ramieniu z kołczanem pełnym strzał, a małżonek kobiety całymi dniami harował przy heblowaniu desek. Nie sposób dziś dociec jak to tam było, matka wzięła tajemnicę do grobu, wiarołomstwa jej już nikt nie udowodni, choć okoliczności sprzyjały bożkowi namiętnego zauroczenia. Szkoda tylko, że badań genetycznych nikt wtedy nie robił, bo reperkusje tamtego zamieszania w rodzinie cieśli dają nam się we znaki do dziś dnia.

Gdyby rzecz wydarzyła się w naszych czasach, news brzmiałby: *„Amerykańscy naukowcy udowodnili, że przekroczenie Styksu i powrót do świata żywych jest możliwy, jeżeli osoba dokonująca takiego wyczynu w swoim kodzie genetycznym ma nietknięty chromosom XX od matki - zupełnie jak owca Dolly - zmodyfikowany genetycznie gen przeciwgnilny - zupełnie jak pomidory - oraz element trzeci, pierwiastek boski, którego poszukuje się intensywnie w laboratoriach naukowych nakładem ogromnych dotacji, jako że przecież gdzieś musi być, i odkryje się go lada chwila*", i sprawa byłaby jasna.

Ale że było to bardzo bardzo dawno temu wszystko poszło zupełnie innym torem, na ser mater, chciałoby się rzec, Styks przekroczył mężczyzna, wbił na drugim brzegu symbol swojej władzy, wpadł w zaświaty jak po ogień, wrócił z powrotem, i zaczęło się. Pluton został zdetronizowany, zepchnięty w najlepszym razie do rezerwatu, na najbardziej nieurodzajny teren, coś jak trochę później Indianie. A potem Ojcowie Kościoła zaczęli dzielić nowe przestrzenie i mnożyć nowe byty. I pomyśleć, gdyby tylko ta jedna jedyna niewiasta zdobyła się na odwagę i zwaliła wszystko na frywolnego synalka Afrodyty, albo gdyby wiedziano wtedy to, co wie się dzisiaj na temat DNA bogów, to albo nie uwierzono by w boskość jej syna, albo Jezus to musiałaby być kobieta. I wtedy cała nasza historia wyglądałaby kompletnie ale to kompletnie inaczej.

Nie trzeba by lat rozmyślań i dyskusji, nieprzespanych nocy naukowców, zjadania zębów filozofów, Międzynarodowych Komisji Teologicznych, 41 stron dokumentu odwołującego otchłań dla nieochrzczonych dzieciątek, bo czyż byłoby do pomyślenia, żeby córka swojej matki, kobieta z kobiety, wymyśliła coś takiego, jak *limbus puerorum*, dla swoich niewinnie zmarłych dzieci i równie niewinnych dzieci innych matek?

Papież Benedykt XVI twierdzi teraz, że to tylko taka hipoteza była, nie sprawdziła się naukowo, a więc można z niej zrezygnować, w sumie bagatela, strzelić palcami, pstryk, i nie ma. Nie był to dogmat, bo tego nie dałoby się ot, tak, obalić, ale li tylko „wielowiekowa tradycja w Kościele katolickim". No, nie, proszę księdza, wielowiekową tradycją to było to, że ludzie cuda wyczyniali, żeby nie wtrącać swojego niewinnego potomstwa do otchłani smutku i zapomnienia na wieku wieków amen. Zrozpaczone matki chciały spotkać choćby i po śmierci swoje przedwcześnie zmarłe dzieci. Nierzadko oddawały za to życie. I tak przez wieki. Nie chcę nawet myśleć, ile stron dokumentu trzeba by spisać, żeby oddać wszystkie te cierpienia i udręki, które ludzi spotkały z powodu tego typu „hipotez" tytanów rozumu naszego KK.

Do najjaśniejszych na tym firmamencie należy bez wątpienia święty Augustyn, żyjący na przełomie IV i V wieku zagorzały orędownik pojęcia „grzech pierworodny" [2]. Z fanatyczną zaciekłością neofity, jakim był (nawrócił się w wieku 31 lat), ten wielce uczony Ojciec Kościoła ogłosił ludzkość *massą peccatorum*, grzeszną tłuszczą [3], i to bez żadnego wyjątku, nawet nowo narodzone dzieci, ba, nawet dzieci w łonach matek, były obarczone grzechem niezmywalnym i jedynym remedium na ową ludzką nikczemną "*naturę peccatrix*" był chrzest święty. Jeśli z jakichkolwiek powodów grzech pierworodny nie mógł być zmyty chrztem, delikwent lądował w piekle, i nie ma zmiłuj. Wprawdzie dla dzieci święty Augustyn przewidywał nieco łagodniejszą karę niż dla dorosłych, którzy do grzechu pierworodnego dokładali swoje prywatne, osobiste grzechy, ale tak czy inaczej jedynie piekło czekało wszystkich nieochrzczonych [4]. Czy nieprzejednanie świętego skruszałoby, gdyby wiedział, ile nieszczęścia narobi? Miejmy nadzieję, że kruszeje i kruszeć będzie po Dzień Sądny w przepastnych czeluściach Tartaru pod wpływem terapii niestrudzonej w nękaniu pensjonariuszy tej części piekła straszliwej Erynii o imieniu Zawziętość [5].

Święty Augustyn, jeden z największych świętych chrześcijaństwa, oddał ducha Bogu w piątym wieku po Chrystusie. Dobrych pięć wieków później „grzeszna tłuszcza" dała sobie wreszcie szansę na zmianę kary za grzechy z wiecznej na czasową. Wynaleziono czyściec. I przy okazji przesuwania granic w zaświatach za jakieś dwieście kolejnych lat główkowania dodano na pograniczu piekła, *limbusie*, dwie otchłanie, niejako *a posteriori*, dobre tysiąc lat *posthum*, *limbus patrum*, miały się tam znajdować dusze patriarchów starotestamentowych sprzed odkupienia przez Chrystusa, i interesujący nas *limbus puerorum*, przedpiekle dla najmniejszych, tu wpadały duszyczki dzieci nieochrzczonych i choć nie było im całkiem niemiło, do nieba miały równie daleko, jak głęboko leżał Tartar w obejściu Plutona-Hadesa.

Podczas gdy pokolenia doktorów teologów na teologicznych szczytach przerzucało się wiedzą na temat wagi grzechów i kar, co brzmiało mniej więcej w ten deseń: *culpa* jako *aversio ab incommutabili bono* i *conversio ad bonum commutabile* powinna być ukarana odpowiednio jako *utrata gratii* lub *utrata visio beatifica*, oraz ustalało, że: *peccatum originale*, grzech pierworodny, nie jest *peccatum actuale*, wobec tego *peccatum originale* nie powinno być karane przez *poena actualis*, skąd wniosek, że dzieciom obarczonym *peccatum originale* ale nie *peccatum actuale* wystarczy za karę *carentia visionis Dei*, czyli niedopuszczenie przed oblicze Pana, co nie jest taką znowu straszną karą, zważywszy, że nigdy przecież nie zaznały *delectatio* w Bogu… zwyczajni, mniej uczeni ludzie, rozumieli z tego jedno: nie ma nadziei na zbawienie dla ich nieochrzczonych dzieci.

I choć wynalazek *limbusu puerorum* był niewątpliwym postępem w stosunku do nauk świętego Augustyna, próbą „humanizacji życia pozagrobowego" [6], to stał się on „jedną z największych porażek Kościoła" [7], o czym dziś mało kto wie. O ile czyściec spotkał się z pozytywną integracją w świadomość wierzącego, bo dawał nadzieję, o tyle brak widoków na spotkanie w niebiańskich ogrodach własnych utraconych dzieci, bo nie zdążono z chrztem, doprowadził do bodaj najbardziej absurdalnych i makabrycznych praktyk w historii Kościoła. Tradycją bowiem, funkcjonującą przez całe wieki, stało się zapobieganie na wszelkie możliwe sposoby wtrącaniu niewinnych

duszyczek do przedpiekla bez Boga.

„Koncepcja teologów", jak to się dzisiaj wdzięcznie a niewinnie nazywa, spowodowała bowiem w reakcji utworzenie tak zwanych "*sanctuaires à répit*" czyli „sanktuariów odroczenia". Były to miejsca pielgrzymek matek z martwymi dziećmi (noworodkami lub płodami z poronień w różnym stadium rozwoju) w oczekiwaniu cudu. Matki wierzyły, że dzięki wstawiennictwu Maryi Panny, świętego Pankracego, patrona dzieci, lub innych świętych, ich dziecię na parę sekund ożyje, ochrzci się je i wtedy już będzie mogło sobie spokojnie umrzeć zostawiając żywych w spokoju ducha, bo pójdzie do nieba.

Tym samym Kościół, ten sam Kościół, który tak ponad wszystko czci(ł) swoją „matkę boską", równocześnie zgotował wszystkim ludzkim matkom nie jakieś tam hipotetyczne przedpiekle istniejące w chorej wyobraźni mężów Kościoła, ale prawdziwe piekło na ziemi i to już wcale nie jest zabawne w tej opowieści o straszno śmiesznych wymysłach uczonych autorytetów z bożej łaski. Można to podsumować krótką, ale jakże przydatną tak wtedy jak i dziś sentencją w uczonym języku teologów: „Qualis ratio, talis et actiones" (Jaki rozum, takie i uczynki), śmiem jednak wątpić, że znajdziemy to zdanie na 41 stronach uzasadnienia o „rezygnacji z koncepcji limbusu puerorum". Zatwierdzona w XIII wieku topografia zaświatów odzwierciedliła się wkrótce w kartografii chrześcijańskiej Europy. Sanktuaria odroczenia były w wiekach od XIV do XVIII masowym fenomenem w skali europejskiej, gdzieniegdzie przetrwały do XX wieku. W samej Francji było ich około 220, jak się doliczono. Pierwszym znanym przypadkiem jest sanktuarium z okolic Awinionu z roku 1387. W 1993 roku w szwajcarskiej miejscowości Oberbüren w kantonie berneńskim archeolodzy zbadali i udokumentowali działalność jednego z takich „świętych miejsc". To, co podawały źródła pisemne, potwierdziły wykopaliska: prawie 2000 martwych noworodków przywrócono tu cudownie do życia, ochrzczono, po czym pochowano w poświęconej przysanktuaryjnej ziemi [8].

A jak to wyglądało w praktyce? Zajmowały się tym głównie kobiety, nieszczęsne matki martwych dzieci, oraz ich pomocnice w samym sanktuarium pełniące rolę świadków cudu objawiającego się tym, że maleńki trupek nagle poruszył się, nabrał rumieńców, złapał oddech… Oznaki musiały być bezsporne, dlatego cud wspomagano co nieco. Najczęściej, nazwijmy to z naszego punktu widzenia, „metodą termiczną". Trupka kładziono na rozżarzonych węglach i w blasku świec oraz przy pieśniach i modłach czekano, aż zacznie dawać znaki ożywania. Pieczony trupek pod wpływem wysokiej temperatury rzeczywiście a to drgnął, a to wydał dźwięk jaki towarzyszy zwykle smażeniu kotletów na gorącej patelni i wtedy rzucano się do dokonania obrządku chrztu. Po czym cudownie uratowana duszyczka ulatywała przed oblicze Pana.

Musiała to być wyjątkowo odrażająca i cuchnąca operacja, zważywszy, że nieboszczątka nierzadko były wpierw pochowane a potem ekshumowane, zanim trafiły na palenisko, czyli w daleko posuniętym stopniu rozkładu, a nawet jeśli były stosunkowo świeże, to i tak najczęściej przynajmniej kilkudniowe, bo trzeba było odbyć podróż do sanktuarium nie dla każdego o rzut beretką, a podróż ta odbywała się co najwyżej na końskich nogach, bo poza tym po prostu na własnych. Przy czym matki, po odbytym połogu, niekoniecznie były sprinterkami. Lodu do okładania rozkładającego się mięsa też, no, może poza zimą, nie znano.

Dlaczego więc to robiły? Dlaczego kobiety brały na siebie takie trudy, znoje i, co tu dużo mówić, paskudztwa? Po co tak ohydne praktyki? Czy abstrakcyjna w końcu idea „otchłani" aż tak bardzo mobilizowała? O, nie, kobiety przeciwdziałały jak umiały sankcjom jak najbardziej realnym [9]. Rodziców nieochrzczonych dzieci Kościół straszył [10] odpowiedzialnością wobec Sądu Ostatecznego po śmierci a za życia szykanował. Dzieci obarczone niezmytym brudem grzechu pierworodnego grzebano poza murami cmentarza podobnie jak *„inne osoby dotknięte hańbą, niewierzących, heretyków, odstępców, schizmatyków, ekskomunikowanych, zmarłych śmiercią samobójczą, (…) publicznych grzeszników…*" [11]. W wierzeniach ludowych kursowało także przeświadczenie, że dziecko może wrócić na ziemię pod postacią małego upiorka, podejrzewam, że niejeden oddany Bogu proboszcz i sam święcie w to wierzył, i wiernych tym terroryzował.

Tu wspomnieć wypada, bo tu też łatwo w naszych czasach o przeinterpretowanie, że wyjątkowo okrutne kary

egzekwowane na kobietach za dzieciobójstwo, a to: zasypywanie żywcem i przebijanie palem albo też zamykanie w worku z psem, kogutem, żmiją i małpą, lub, z braku małp w lasach Europy, z kotem, i topione [12], właśnie dlatego były tak wymyślne, bo kobiety te pozbawiały swoje zamordowane dzieci perspektywy nieba, co było znacznie bardziej potępiane, niż sam nagi fakt pozbawienia je życia [13].

Powróćmy jednak do cudów czynionych na martwych noworodkach przez zdesperowane matki. Otóż Kościołowi praktyki te coraz mniej się podobały. Nie, nie tyle dlatego, że cud „odroczenia śmierci" był cokolwiek naciągany, ale dlatego, że do ustalania, co cudem jest, a co nie jest, Kościół powołał specjalne oficjalne organy, nawiasem, te same, które dziś testują na prawdę lub fałsz cuda mające udokumentować słuszność decyzji o kanonizacji aktualnych świętych. Kobiety, matki i akuszerki, oraz ich pomocnice, odwalały fuszerkę, zarzucono im, Kościół postanowił zająć się sprawą profesjonalnie. Powoli przejmował kontrolę [14] nad tą jakże odpowiedzialną funkcją ratowania maleńkich aniołków od lądowania w wykreowanym przez siebie przedpieklu. Spowodowało to zepchnięcie usługi sanktuariów odroczenia do szarej strefy, tam działały do początków XX wieku acz już nie tak masowo [15].

Kościół natomiast wymyślił rozwiązanie o wiele bardziej „naukowe". Ktoś mógłby naiwnie pomyśleć, aha, odwołał *limbus puerorum*, ale gdzie tam, guzik z pętelką. Kościół zarządził tak zwany „chrzest wśródmaciczny", „interuterutalny", że pokuszę się o bardziej naukowo brzmiącą nazwę. I o ile cud przywracania do życia zmarłych osesków był co najwyżej zwyczajnie nieestetyczny, o tyle chrzest wewnątrz macicy był tysiąckrotnie gorszy, bo była to operacja na żywym ciele kobiety nierzadko uwieńczona sukcesem: „operacja się udała, pacjentka nie żyje". Czy są jakieś statystyki na ten temat? Nie sądzę. Wszak były to „naturalne" śmierci. Ile żyjących już dzieci zabijane tym sposobem matki osierociły?… Czy ktoś to odnotowywał? A czy ktokolwiek się tym przejmował?

Gdy poród był trudny i rodzącemu się dziecku groziła śmierć należało wpakować rodzącej prosto do macicy rurkę (mogła być na przykład z gęsiego pióra) i wlać przez nią święconą wodę na jakąkolwiek część ciała dziecka wymawiając przy tym słowa chrztu. Miała prawo zrobić to akuszerka, ale nieporównanie lepiej, gdy był to ksiądz, bo chrzest wykonany przez hebamę był zaledwie prowizoryczny, jeżeli dziecko przeżyło, należało chrzest powtórzyć w kościele. Jeśli więc do porodu udało się ściągnąć księdza, to już on przejmował dowodzenie. Zachowały się instrukcje, jak należało postąpić. Makabra pur. Żeby się domacać z całą pewnością dziecka, a nie ochrzcić niechcący na przykład pępowiny - instrukcja podkreślała, że wtedy sakrament nie działa - ksiądz maczał rękę w święconej wodzie i pakował ją do wnętrzności kobiety. I tak długo grzebał, aż wyczuł pod palcami to coś, co wyglądało mu na główkę, nóżkę, rączkę dziecka… Jak się czuła i co czuła przy tym rodząca? Lepiej nie myśleć!

Tu ciekawiej przyłapać księdza na jego odczuciach, toż poza tym, że ksiądz, był to także chłop. A otwierała się przed jego oczami sfera dla niego poza tym niedostępna, przynajmniej w teorii. Z braku Internetu zawsze to coś. Lecz dość, pozostawmy grzebanie ramom świętego sakramentu i przejdźmy do dalszego rozwoju zagadnienia, bo będziemy mieć i postęp. Oświecenie przyniosło udoskonalanie narzędzi, medycyna - bywało, że służka Kościoła - wynalazła strzykawkę do chrztu dziecka w matce. Odtąd taka strzykawa należała do wyposażenia oświeconej służby medycznej. Czy była odkażana? A czy ktokolwiek wtedy cokolwiek odkażał? Wiedeński lekarz, dr Ignacy Filip Semmelweis [16], zauważył wprawdzie związek między śmiertelnością rodzących kobiet a trupim jadem i nakazał swojemu personelowi mycie rąk, jednak nie było wtedy Internetu do szybkiego rozprzestrzeniania wiedzy.

Historia medycyny mówi, że w pierwszej połowie XIX wieku śmiertelność kobiet z powodu gorączki połogowej miała rozmiary epidemii. W latach 40-tych *„bywały miesiące, że w wiedeńskiej klinice położniczej umierało do 30% rodzących*" [17]. Dodajmy, że śmierć z powodu posocznicy połogowej jest zwykle straszliwą śmiercią, postrach wszystkich kobiet. Ile kobiet zmarło na przestrzeni dziejów z powodu pakowania w nie instrumentów chrzczenia wśródmacicznego — od księżych łap po strzykawkę z wodą święconą — nie wiadomo, trzeba by je policzyć w życiu pozagrobowym, historia ich nie uwzględnia.

W historii Kościoła połowy XIX wieku odnotowujemy natomiast pewne znamienne wydarzenie. W roku 1854

zostaje zatwierdzony dogmat, że święta Matka, podobnie jak jej Syn, była poczęta niepokalanie. Rodzice Marii, Joachim i Anna, spłodzili córkę bez „grzesznej pożądliwości ciała", ustalono [18] „Niepokalane poczęcie", przez wieki ekskluzywnie zarezerwowane dla Syna Matki, objęło również samą Matkę. Mamy więc Najjaśniejszą Panienkę z panienki zrodzoną, czy jakoś tak, bo Kościół do dziś ma zagwozdkę [19] z tym dogmatem, słudzy Boga za bardzo się w XIX wieku w swej gorliwości zagalopowali. Niepokalane poczęcie ekskluzywnie traktowane miało swój niewątpliwy ciężar, nie powinno się było rozmnażać. Ale dogmat to dogmat, tu pomyłek nie ma, wąż ugryzł się we własny ogon. Tak to Kościół kreował i kreował aż wykreował sobie ideał idealnej kobiety w duchu "paragrafu 22".

Powoli zbliżamy się do czasów nam współczesnych, do pamiętnego dnia 20 kwietnia 2007 roku, kiedy to *limbus puerorum* dokonał cichutko żywota. Wiadomość ta nie zelektryzowała świata, najczęściej podawana była jako ciekawostka, ot, był i nie ma. Ale ile złego spowodował, tego nikt nie przypominał, bo to trochę żenująca historia. Można by ją podsumować, że odpowiedzialni za nią ludzie „nie wiedzieli co czynili". I wybaczyć, czy jak to tam było...? ...Ale, zaraz, zaraz, Iksjon skończył w Tartarze za własną głupotę, bo któż mądry dobiera się do chmury? Mamy więc precedens. A w takim razie tych wszystkich, którzy przyczyniali się przez wieki do pohańbienia i śmierci tylu kobiet, zsyłam jednym kliknięciem myszki na wieczność do najgłębszych otchłani Tartaru. Niech im się wysmaża w ogniu rozum, którego nie mieli, i niech im mściwe Erynie do końca czasów szarpią grzeszne ciała [20].

Rozmarzyłam się? I to jak:

Gdybyż Jezus była kobietą...

na pewno by sobie tak z życiem nie poczynała!
W starożytnym świecie nawet ciężarne suki
objęte były ochroną, jak słyszałam.
Ideałem mężczyzny
nie byłby bezpłodny zdechlak
rozpięty po wsze czasy na marach.
Ideałem kobiety — bezpłciowa cierpiąca istota.
Symbolem byłoby nie skatowane chude martwe ciało,

a piękna i zmysłowa Wenus-Afrodyta
o twarzy i kształtach
wprost spod pędzla Sandra,
gdy malując z zachwytu oniemiał,
panna Scarlett Johansson, taka jak ona,
rozkoszna Muza Woody Allena,
tak mi się dziś maluje ideał-kobieta,
wesoła, żywa, roześmiana,
tańcząca na muszli po falach.

Jej towarzyszki,
wdzięczne Charyty, boskie Gracje:
Aglaja, Eufrozyna i Taleja,
Promienna, Rozumna i Kwitnąca,
zupełnie coś innego, niż „gratia" naszego Boga,
łaska poniżająca,
i ta jego zbolała fleja,
chorym cierpiętnikom droga,
miłość bez miłości znosząca.

*

Poezja...?... Nie twierdzę, że nie byłoby prozy życia, ale tak sobie myślę, że byłaby afirmacja życia a nie śmierci... zostawmy jednak rozważania typu „gdyby babcia miała wąsy, to by była dziadkiem" i wróćmy do rzeczywistości. Hipoteza to, jak wiadomo, ale chętnie przypomnę: założenie oparte na prawdopodobieństwie, a wymagające sprawdzenia, lub przypuszczenie mające ułatwić (naukowe) wyjaśnienie zjawiska (wg Kopalińskiego). Zachodzi więc pytanie, jak uczeni Kościoła poradzili sobie z „naukowym wyjaśnieniem zjawiska" pod tytułem "likwidacja *limbusu puerorum*"?

A, to i to może jeszcze przypomnę, nie jesteśmy już w IV czy V wieku naszej ery, w późniejszych wiekach średnich też nie, żyjemy w czasach Internetu, rzeczywistości wirtualnej, noosfery i rakiet dolatujących do Tytana w celu zbadania jego atmosfery, nie, nie z tych tytanów, nie mitologicznych dzieci Uranosa, ale księżyca Saturna, planety krążącej wokół Słońca dziewięć i pół raza dalej niż Ziemia, co przekłada się na średnio 1.426.725.413 kilometrów, tam dolatujemy, jesteśmy dziećmi trzeciego tysiąclecia.

A zatem jak? Mam i ja swoją hipotezę: delegacja najsolidniej utytułowanych teologów Watykanu [21] dolatuje do skraju piekła. Tam właśnie, na *limes infernalis*, ulokowany jest *limbus infantium* vel *puerorum*, cel wyprawy Ich Eminencji (stąd tyle łaciny na pokładzie [22]). Jest to w zasadzie obszar jałowy i mało wydajny, zupełnie jak piaski i skały w rezerwatach dla Indian, śmiertelność noworodków bardzo spadła w naszych czasach. I nagle cóż widzą szanowni delegaci? Że tryska tam źródło ropy naftowej, bogactwo, jakiego nie przewidywali, istne El Dorado godne imienia jego zdetronizowanego władcy. Bo oto mamy 50 do 60 milionów przerywania ciąż w ciągu roku w skali globalnej. Niezłe żniwo jak na pomniejszego wodza rezerwatu. Delegacja wraca czem prędzej i radzi nerwowo, jak tu odebrać obszar, który raz dała? Nakazem? Zakazem? Rozkazem? Ukazem?

Pokazem! Pokażemy światu, jacy nowocześni goście z nas są, jakie tęgie głowy! Limbus puerorum? Eee, takie tam, to taka tradycja była. Machniemy ręką na tradycję, dmuchniemy w powietrze, pstrykniemy palcami i nie ma. I teren znowu należy do nas. Na 41 stronach spiszemy umowę o zawłaszczeniu i wychodzimy na swoje. I już świat obiega news: „Nieochrzczone dzieci zaczną trafiać do raju. Z ujawnionych fragmentów dokumentu w tej sprawie wynika jasno, że teolodzy uznali, iż dusze dzieci, które umarły bez chrztu, idą do raju. Ponadto zwraca się uwagę na to, że zajęcie stanowiska w tej sprawie było dla Kościoła nie tylko kwestią czysto teoretyczną, ale też pilną potrzebą ze względu na poważny problem duszpasterski. Rośnie bowiem liczba dzieci, które umierają bez chrztu, i to, jak się zauważa, zarówno dlatego, że ich rodzice nie są katolikami, jak i dlatego, że 'dzieci padają ofiarami aborcji'." (PAP, 20.4.2007)

Tak oto eleganckim sposobem Kościół katolicki usmażył przy jednym ogniu dwie pieczenie, bo przy okazji porwał do swojego raju wszystkie dzieci świata, i te ochrzczone, i te nieochrzczone, choć te ostatnie mogą po prostu przynależeć do innego jedynego Boga, odżegnującego się od chrztu, ale to już jest materiał na zupełnie inną bajkę. Hipoteza udowodniona? A jakże, śladami naszej naukowej ekspedycji przeleciałam się w zaświaty na miotle, żeby na własne oczy zobaczyć i zaświadczyć, Pluton wkurwiony jak wszyscy diabli, cbdu.

*

(tłumaczenia cytatów i tytułów w nawiasach moje, na zdj. strzykawka do chrztu wewnątrzmacicznego)

Czytaj także:

- Karlheiz Deschner: „I znowu zapiał kur", wyd. Uraeus, Gdynia 1996
- Karlheinz Deschner: „Kryminalna historia chrześcijaństwa", wyd. Uraeus, Gdynia
- Philippe Aričs: „Historia dzieciństwa. Dziecko i rodzina w dawnych czasach", wyd. Marabut, Gdańsk 1995

*

O książce "Kulisy światowej wojny o prawa reprodukcyjne kobiet" (na zdj. nr 2):

Autorka ujawnia kulisy światowej wojny o prawa reprodukcyjne kobiet (m.in. prawo do legalnej i bezpiecznej aborcji, prawo do opieki medycznej podczas ciąży i porodu, prawo do edukacji seksualnej i antykoncepcji). Wskazuje na zagrożenia, jakie niesie ze sobą przegrana kobiet. Kobiece ciało jest polem bitwy fundamentalistów religijnych, polityków i feministek, stawką w tej walce jest bezpieczeństwo konkretnych jednostek, i całego świata. Książka jest zapisem podróży po czterech kontynentach, jak się okazuje kobiety wszędzie są dyskryminowaną większością, na szczęście skutki (ekonomiczne i demograficzne) tej opresji zaczynają odczuwać również mężczyźni, na szczęście, bo cierpienie kobiet i ich dzieci dotąd możnym tego świata było obojętne. Goldberg demaskuje ostatnie 50 lat działań amerykańskich przywódców, wskazując jaką rolę w budowaniu potęgi Stanów Zjednoczonych odegrała kontrola płodności.

* * *

tekst napisany w kwietniu 2007 na www.racjonalista.pl, tu są też komentarze:

http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5400/q,Meska.decyzja.Pstryk.i.limbus.puerorum.znikl